ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 11 listopada 1922 roku. № 45.

Danina mleka i miodu.

Orgja.

Rodzą się coraz to nowsze, nieznane z pierwobrzmienia dźwięki. Rodzą się coraz to inne barwy, jedna z drugiej poczęta.

Wiatr cichy a parny dmie w wielkie skrzydło rajskiego ptaka, które się zdaje nakrywać świat. Słońce praży, przepuszczane jak przez szklane sito jego niesłychanych piór.

Każdy przedmiot wokół jest tęczą. Nawet głęboki, czarny aksamit nagromadzonych ciał opalizuje na błękitno i rdzawo.

— Alusha, balua, ah, han!!!

— Ah, han!

Niby promienie zionącego wulkanu, chwieją się strzeliste tyki, a na nich gorzeją w słońcu pękate łby dyń, z wetkniętemi weń papuziemi ogonami.

— Alusha, balua... ah, han!

Orgja.

Muzyka rozdziera znojne powietrze grzmotem kołatek, bębnów, piszczałek i trombonów z kości słoniowej, naganiających się wzajem bezładnie. Nie uderza w rozelśniony eter, ale wświdrowuje się spiralnie i rżnie powietrze, jak piła zeschłe drzewo.

— Alusha, balua... ah, han!

Wrzawa, spieka, barwa, to wszystko tylko jedna wyprężająca się cięciwa ku jednemu celowi, który się zbliża aktem uroczystym.

Niosą dziewczęta daninę mleka i miodu nowoobranemu władcy.

Uszeregowane w rytualny, amfiteatralny wzór, stoją całe obnażone, czarne jak noc, jak rząd amfor z iskrzącego szkła, o piersiach przeważnie purpurowych, mlekiem nabrzmiałych i o powiekach fioletowych.

Czekają znaku, ściskając krągłe kolana, o suchych, sarnich wiązadłach.

— Alusha, balua... ah, han!

— Ah, han!

Kuenu - król stoi sam, wedle rytuału, wyżej, także nagi i jak plusz czarny i lśniący. Trupią czaszkę małpiego szczenięcia ma uwieszoną na muskularnej szyi.

Nie czuje się nieswój Kuenu w tym stroju, mimo że niedawno zdjął strój europejski i że niedawno jeszcze wydawała mu się ta jego śmieszna, papuzia ojczyzna, nieegzystującym postrachem. Przywiózł tylko z Europy zwiększony pęd despotyzmu i logicznie wyrozumowany autokratyzm.

Trzeba teraz dać sakramentalny znak którejś z dziewcząt, pieczołowicie przez starszyznę wybranych i spełnić obrządek ojców.

Której?

Pośrodku stoi, jak wmurowany słupek, cieniutka, niby z pestki daktyla wyrzezana dziewczynka. Wytarzano ją dzieckiem w soczystych trawach Bileduldżerid, bo zdaje się zanosić na odległość łopianem i dzikim gladiolusem.

Niedawno odbyta brzemienność nie zdeformowała jej zgoła, tylko piersi, większe od jej głowy, szkarłatną czerwotoczyną z drzewa ochun namazane, wyprężają się ku niemu pokorną, młodą jędrnością.

Kuenu uczuwa nagły, niezwalczony wstręt.

Nie chce tej małej z pestki daktyla.

Może tamta obok? Od stóp do głów cynobrem namalowana — długoszyjny flaming, o owalnych piersiach, zakończonych, jak jabłko mahoniowe, brunatnym migdałem? Albo tamten krotochwilny, rozkudłaczony łepek z perskich baranków, osadzony na wątłej szyi, zupełnie jak europejska szczotka do czyszczenia lamp? Albo tamten duży lezard ultramarynowy?

Żadna? Ani flaming, ani lezard, ani szczotka do czyszczenia lamp?

Żadna.

Słońce praży i rozżarza zwolna do białości ów czarny jak noc, smętny, głęboki, aksamitny ton dziewczęcego szeregu.

Białość! Białość! Białość!... dziewczęta Europy... och. gdyby one.

Zachłysnąć się można tym czadem białości!

Nigdy Kuenu nie miał dość tych filigranowych, w zasadzie nędznych, nikłych, cienkokostnych, kabalistycznych korpusików, o niepokojącej dlań jasności naskórka, czyniącego mu zawsze wrażenie przezroczej ścianki ampli, której utajone światło przecieżby się dało ugasić.

Czem?

Tchem wściekłego pocałunku, czy uderzeniem pięści między te złote ljany brwi?

Zawsze o jakąś jedną było mu za mało. O tę strojną, rozchichotaną, źle wychowaną panienkę z loży Grand Guignolu... o tę niełaskawą panią, widzianą przelotem w szybie samochodu, w kapuzie z marabutów, na nicejskiej szosie... o tę elastyczną jak bicz sportsmenkę w czekoladowej amazonce na czekoladowym koniu... o tę gasnącą księżniczkę z terrasy włoskiego sanatorjum, pachnącego cyklamenami i lyzolem...

Zawsze tej jednej, nieotrzymanej nigdy, niedotknionej, pełne były jego rwane, głodne, tropikalne sny.

Dostępne, tam w Europie, brał w żywiołowej tęsknocie za... niedostępnemi, walcząc z skurczem kanibalskich szczęk, które się rozwierały bezwolnie na znany gdzieś z prabytów, okrutny haszysz białego mięsa.

Gdyby ta właśnie — ta jakaś, ta biała—stanąć chciała dzisiaj, w ową druzgocącą żarem słonecznym godzinę i podać mu w różowej, szczodrobliwej dłoni różową, szczodrobliwą czarkę swej piersi — daninę niewiadomego kraju!

O, jakże szalonym, jakże innym byłby obrzęd dzisiejszy! Jakże go na samą myśl odurza posmak, który czuje na wargach (taki posmak mają korzenie niektórych odmian nenufaru).

Głupstwo. Niema ich.

— Alusha, ah, han! — nawołują kapłany natarczywie.

— Kuenu... Kuenu...—powtarza cierpliwie tłum.

Trzeba się zdecydować.

Głupstwo.

Bierze z ręki pontyfikującego iwaffy (goły, wytatuowany, niezmiernie godny szambelan) długą trzcinę, na szczycie której dygocze fetyszowa stwora królewska (ptak? zając? czy miotła?) i uderza nią naoślep pierwszą lepszą dziewczynę w szeregu. Pierwszą lepszą.

To zawsze będzie nie ta, więc wszystko jedno.

Czarna skóra dotkniętej dziewczyny blednie ze wzruszenia. Proste, giętkie jej nogi, niby na węgiel spalone bamnusy, drżą, a granatowe jeżyny jej oczu mienią się prawie boleśnie.

— Adjalu, ah, han! Adjalu! — krzyczy ktoś spazmatycznie (pewnie ktoś z jej rodziny, upojony chwałą), lecz natychmiast rozlega się groźny syk: ofiarnica wszakże ma być bezimienną.

Zbliża się do niej pospiesznie arcykapłan i, kładąc na jej łapczywie wyciągnięte ramiona dzban pełen miodu, popycha ją lekko ku władcy.

— Przyjm, królu, daninę miodu, słodką daninę ziemi...—piszczy dostojnik cienko i przeraźliwie. — Ah, han!

Tłum chwyta te słowa i zaczyna je wyć na wszystkie tony gamą, podobną warczeniu bębna i zgrzytowi wrzeciądzów.

We wrzasku, ryku, pisku i chrzęście bambusowych kastaniet podprowadzają dziewczynę do króla.

Klęka niezgrabnie, kładzie dzban przed sobą na skórze numy i rżnie o ziemię małym, pierzastym, oszołomionym łbem.

Kuenu dostrzega u swych stóp świecący potem, prawie błękitny jej kark i wygięty w kabłąk, sinawy cień jej kręgosłupa i ledwo to dostrzega, szybkie dwa węże młodych ramion podnoszą ku niemu dzban miodu.

Kuenu pije długo lepki, słodki, pachnący pomarańczą i nikotianą, starozłoty płyn. Patrzy w dno dzbanu gniewnie, nie wznosząc powiek ani na chwilę. A może ma wogóle oczy zamknięte.

Dziewczynie czołobitnie odbierają dzban. Wówczas wstaje, jak antylopa, na równe nogi.

Niespodzianie uroczym gestem, hieratycznie i dziewiczo zarazem, ujmuje w dłonie czarną kulę swej piersi.

— Przyjm, królu, daninę mleka, żyzną daninę ziemi...

— Przyjm daninę mleka, ah, han...

Wali okrzyk o tarczę lasu i nieba, poczem wszystko cichnie, skupia się, zastyga. Mające nastąpić, archaiczne, prawem najświętszem ustanowione, misterium czaruje i odurza.

Kuenu nachyla się wciąż posępny, jakby miał ucałować marmur.

Uderza w niego nagłem, nieukojonem, gryzącem pragnieniem ta malutka dziewczyna, wyrzezana w pestce daktyla, stojąca opodal, o piersiach, jak kopuły tajemnych kościołów.

Czy to ona miała kapuzę z marabutów?

Za późno.

To zawsze będzie nie ta, więc wszystko jedno.

Bierze tedy w usta chłodne wymię, trzymane wysoko, i pije daninę mleka, jak przedtem miód, z zamkniętemi oczyma.

Marja-Jehanne hr. Wielopolska.

Święte, 22/IX 922.

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI.

* * *

Znów Polska nam się śni,
jak śniła się pradziadom
za dawnych dobrych dni.

Rozkwita w jawę sen
i łzy się cieniem kładą
na oczu polskich len.
I serca są, jak dzwon,
co w zmartwychwstania święto
najwyższy czysty ton
w radosny wplata śpiew.

Nam dusze znów zaklęto,
wszczepiono ogień w krew.
I chwyta dłoń za miecz.
Czujemy znów, że Polska
to jest najdroższa rzecz!
Czujemy wszyscy tak
od Wisły do Tobolska,
gdzie tylko padł nasz szlak.

Dziecięcych marzeń rój
o własnej polskiej armji
wcieliliśmy w czyn swój.

Wolnością Polak znów
upaja się i karmi,
jako w rok wielki ów,
w rok wielki z przed stu lat,
gdy naród do mogiły
swych bohaterów kładł.

Młodzieży naszej sny
dziecięce się spełniły:
Legjonistami my!
Duch polski, ten, co śnił,
w Elsterze zatopiony,
szumi w krwi naszych żył,
przeszywa szkarłat serc,
co są dziś w nas, jak dzwony.
Gotowiśmy na śmierć.

Jak Legjon z przed stu lat,
za ciebie, o swobodo,
padniemy, jak on padł!
Ze śmierci Polak drwi:
najwyższą mu nagrodą
wstążeczka własnej krwi.

Ze zbiorów p. Marji Onitsch.

Ludwik Dumur Powieść.

RZEŹNIK VERDUNU.

4)

Wolny przekład z francuskiego przez H. J. P.

Ach! cobym był dał, gdybym tak mógł wejść do kasyna, prowadząc pod rękę ten uroczy kwiatek Francji, tę królowę piękności i wdzięku, boską Julinkę Rossignol! Prawdopodobnie Kronprintz by mi ją zdmuchnął, ale myśl o możliwości podziału z Jego Cesarską Wysokością nie była mi zbyt przykrą.

W mojem uczuciu dla Julinki próżność grała wielką rolę. Przykro mi też było ogromnie, że, przestawszy się szpecić, była zawsze prawie nędznie ubrana.

Raz naprowadziłem rozmowę na ten przedmiot.

Zaczerwieniła się, poczem odrzekła z żywością:

— Cóż pan chcesz? Przyjechawszy tu na wakacje, przywiozłam ze sobą trzy kufry z garderobą, ale mi je zabrano.

— Domyślałem się tego. Czy zechce mi pani sprawić wielką przyjemność?

— Jaką?

— Pozwolić mi, abym pani zwrócił tę stratę?

Milczała chwilę, poczem rzekła:

— Byłabym panu bardzo wdzięczną, gdybyś mi pomógł w odzyskaniu moich kufrów.

— Ależ ja nie wiem, gdzie one są... Wie pani, pojedziemy do Dun, do naszych składów, a jeżeli nie znajdzie pani tam nic odpowiedniego, zawiozę panią do Sedanu lub Charleville.

— Pan mnie?

— Czemuby nie? Pojedziemy automobilem.

Zawahała się znowu.

— Tak... tylko musiałabym się znowu ucharakteryzować.

— Boże broń!—zawołałem—porzuć pani tę maskaradę. Panna Julina Rossignol z Komedji Francuskiej nie potrzebuje się obawiać niczego pod opieką pruskiego oficera. Ten, co by pani ubliżył, dostałby się pod sąd wojenny.

Te słowa wywarły na niej wielkie wrażenie.

— W takim razie... w takim razie, zgadzam się.

Nagle zmięszała się; oczy jej napełniły się łzami.

— Och! panie — wymówiła łkając—jest coś... o co przedewszystkiem musisz się pan postarać...

— Cóż takiego?—zapytałem zaintrygowany.

— Przebacz... błagam pana... trzeba, żebyś pan uzyskał dla mnie i dla mojej biednej ciotki zwolnienie z oględzin...

— Jakto! — wykrzyknąłem oburzony — pani podlegasz oględzinom lekarskim?

— Tak... a nawet moja nieszczęsna ciotka, pomimo swego wieku... Taki jest rozkaz komendantury.

— To nikczemność! — wykrzyknąłem wstrząśnięty do głębi.—Bądź pani spokojną; uwolnię cię od tej męczarni... Nie myśl już o tem... O! gdybyś tylko chciała... gdybyś chciała...—dodałem, nie śmiejąc dokończyć...—Wiesz, że wszystkie twoje życzenia są naprzód spełnione.

Uścisnęła mi rękę, obtarła łzy i uśmiechnęła się; a ja w tym uśmiechu wyczytałem zapowiedź mego rychłego szczęścia.

. . . . . .

I to szczęście nadeszło... nadeszło w chwili, kiedy miłość moja dla Julinki dosięgła swego apogeum. Ach! bo też było dla kogo. Strojna teraz w śliczne, modne suknie, przeobraziła się, jak za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, w istną królewnę piękności, elegancji, wykwintu i artystycznego czaru.

Szalałem za nią... I ta boska istota oddała mi się wreszcie pewnej majowej nocy, kiedy słowik śpiewał w jaśminowych krzakach, a upajająca woń bzów i narcyzów napełniała powietrze.

Po upływie paru dni, które spędziłem, jak w otumanieniu, zacząłem się zastanawiać, czy mam zawieźć Julinkę do Stenay, czy nie? Próżność mnie ku temu popychała, ale wciąż wzrastająca miłość więziła jej zapędy. Zacząłem być wściekle zazdrosnym, ale z drugiej strony, cóż by to była za rozkosz popisać się taką zdobyczą!

Julinka sama położyła kres moim wahaniom. Przyniosłem jej wspaniałą bransoletę z pereł i brylantów, którą znalazłem w magazynach armji i nabyłem po oficerskiej cenie, to jest za czwartą część wartości. Byłem przekonany, że ją uszczęśliwię tym podarunkiem, lecz ku memu wielkiemu zdumieniu, nie przyjęła go.

— Nie noszę klejnotów — rzekła — i nic od pana nie przyjmę. (Pomimo stosunku, jaki nas teraz łączył, nazywała mnie zawsze panem). Ale jeżeli chcesz mi zrobić przyjemność, to...

— Cóż takiego?—przerwałem—uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

— Zawieź mnie pan do Stenay.

— Chcesz poznać Kronprintza?

— Niekoniecznie. Ale mam ogromną ochotę pojechać do Stenay.

To wystarczyło. Zresztą, zastanowiwszy się głębiej, doszedłem do przekonania, że tak będzie najlepiej ze wszystkich względów. Jeżeli Julinka oddała mi się, to chyba nie po to, by siedzieć zamkniętą w swoim pokoju i w ogrodzie w Dun, jak haremowa odaliska, ale aby korzystać ze swego nowego położenia kochanki sztabowego oficera, bawić się i używać świata. A ja sam, jeśli bym ukrywał się ze swoją zdobyczą, jakże mógłbym ją zachować i zabrać ze sobą w razie, gdyby mi wypadło zmienić miejsce pobytu? Że, zapewniając sobie spokój i trwanie mojego szczęścia, musiałbym spłacić prawdopodobny haracz Kronprintzowi, to nie powinno mnie było odstręczać. Nie przystało mi być zazdrosnym o Jego Cesarską Wysokość, który wyświadczyłby mi wielki zaszczyt, biorąc mi moją kochankę. Zresztą wcześniej, czy później, tajemnica musiałaby wyjść na jaw, a wtedy uprowadzonoby mi Julinkę bez żadnych ceremonji.

Ten ostatni argument zwyciężył, a że nazajutrz miała być tańcująca herbata w kasyno w Stenay, zajechałem więc o czwartej automobilem po Julinkę.

Była zachwycająca w czarnej kaszmirowej sukni, przybranej białą taftą. Uprzedziłem o tym fakcie jednego tylko z oficerów, z którym najbliżej żyłem, wytwornego barona von Werthau, który znał Julinkę z Paryża i mówił zawsze o niej z uniesieniem, ale gdyśmy weszli na salę, postarałem się, że wszyscy już byli powiadomieni.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nas, a dokoła powstały szepty:

— *Ach! das ist die Juliette Rossignol!*

— *Die Schauspiellerin der Comédie Française!*

— *Sie geht mit dem Oberleutnant Hering.*

— *Scharmant!*

— *Hochelegant!*

Baron von Werthau zbliżył się z uśmiechem.

— Pani!—rzekł, całując ją w rękawiczkę—witamy panią w naszem kasynie, a przyjemność, jakiej stąd doznajemy, dorównywa jedynie na-

szemu uwielbieniu dla talentu i piękności pani.

Poczem przedstawił jej cisnących się dokoła oficerów, w czem i ja mu ochotnie dopomagałem, i zaznajomił z obecnemi kobietami. Julinka wśród tego wszystkiego zachowywała się z niewysłowioną dystynkcją, taktem i przytomnością umysłu, co zjednało jej ogromne powodzenie. Pyszniłem się nią, jak paw.

Tańczono już w wielkiej sali z galerją na park i wnet baron von Werthau zaprosił Julinkę do tango. On sam przedstawiał typ skończonej germańskiej urody i była to w istocie idealnie dobrana para — ten piękny adjutant niemiecki i ta urocza paryżanka; rzekłby kto: porywający symbol zbliżenia pomiędzy Niemcami a Francją.

Wsparty o futrynę drzwi, śledziłem rozmiłowanem okiem moją kochankę, ale najlżejszy cień zazdrości nie musnął mego serca. Po skończonem tango, usiedliśmy przy stole w otoczeniu śmietanki obecnego tam towarzystwa.

Nagle drgnąłem. Spostrzegłem złowrogą twarz policjanta Kleina, przybocznego agenta bezpieczeństwa Jego Cesarskiej Wysokości. Ten człowiek, który mi był zawsze wstrętny, przypatrywał się Julince badawczo i podejrzliwie, jakby coś węsząc.

W tej samej chwili dały się słyszeć donośne naszczekiwania, zwiastujące przybycie Kronprintza. Jakoż wszedł sprężysty i podrygujący, jak zawsze, opięty w mundur, w bufiastych spodniach nad chudemi łydkami, w kaszkiecie zsuniętym na tył głowy, nieproporcjonalnie wysokim kołnierzyku i ze szpicrutą w urękawiczkowanej dłoni, wszedł w otoczeniu trzech skaczących dokoła niego chartów.

Zaczął wnet obchodzić stoły, śmiać się, rozdawać uściśnienia ręki, klepać łopatki, kłaniać się damom; w tem spostrzegł Julinkę; przystanął widocznie zaciekawiony, poczem po zamianie półgłosem kilku słów z baronem von Werthau, żywo ku nam postąpił. Witaliśmy wszyscy salutując, podczas gdy Julinka blada, mrugając zlekka rzęsami swych wielkich, czarnych oczu, patrzyła na zbliżającego się ku niej dziedzica Hohenzollernów.

— A to paradne!.. to paradne!.. kochany Hering!..—zawołał wesoło Jego Cesarska Wysokość, uderzając mnie szpicrutą w łydkę. — Taki to z ciebie kryjak... Przedstaw że mi tę uroczą osóbkę.

Dopełniłem tej ceremonji według wszelkich przepisów etykiety.

— *Sapristi... sapristi de sapristi!* — mówił Kronprintz. — Ależ to wybornie!.. My tu jesteśmy, jak w teatrze, po koleżeńsku... Nie mogę zaprosić pani do mego stolika, bo tylko co przybyłem i nie mam go, ale, jeśli pani pozwoli, przysiądę się do was.

Zajęliśmy znowu swoje miejsca, a trzy charty przysiadły dokoła trzcinowego fotelu swego pana.

Kronprintz nie spuszczał oczu z Julinki i było widocznem, że mu przypadła do gustu. Ona zaś, spostrzegłszy to i po opanowaniu pierwszego wzruszenia, zmieniła nagle sposób zachowania się, rozwijając wszystkie zasoby kokieterji i wdzięcznych uśmiechów. Kronprintz był tak oszołomiony tem niespodziewanem zjawieniem się ślicznej aktorki z Komedji Francuskiej, spadającej, jak z nieba, tu, w Stenay, pośród niemieckich armji, że kazał opowiedzieć sobie całe jej dzieje.

— *Epatant!..* — wykrzykiwał co chwila — *e'patant! tout à fait e'patant!*

A gdy skończyła, w czem dopomagaliśmy jej obaj z baronem, zaczął się bić po udach.

— Nie, to zawiele! — zawołał. — Powiedzieć, że od dwóch lat niespełna miałem tu, o dwanaście kilometrów od siebie, tę uroczą francuzeczkę i nic o tem nie wiedziałem... Ależ to zbrodnia! Dlaczegóż, nieszczęśliwe dziecko, nie zwróciłaś się do mnie odrazu?.. Byłoby to dla mnie prawdziwą przyjemnością spełniś wszystkie twoje prośby... a nawet i więcej!

— Gdybym była wiedziała, Jaśnie Oświecony Panie — odrzekła wdzięcząc się nieco przesadnie Julinka. — Ale czyż mogłam przypuszczać? Byłabym sobie istotnie oszczędziła wiele cierpień.

Nazywała go „Jaśnie Oświeconym Panem" na sposób francuski, co brzmiało dość dziwnie w naszych uszach, ale co nam się dosyć podobało, a przedewszystkiem samemu Kronprintzowi.

— Bierzesz mnie pani za jakiegoś gbura? — zapytał z uśmiechem.

— O! nie, Jaśnie Oświecony Panie! Ale za wielkiego i bardzo surowego generała.

— Co na to Wasza Cesarska Wysokość? — zapytał baron von Werthau, kładąc delikatny nacisk na tytule.

— Ileż to legend krąży na mój rachunek! — odrzekł Kronprintz, wzruszając ramionami. — Ale ja kocham Francję, panno Rossignol!.. Kocham Francuzów, a zwłaszcza Francuzki, i gdybym nie był pruskim Kronprintzem, chciałbym być Delfinem Francji... Może i nim będę. Jeśli kiedykolwiek wstąpię na tron Francji, możesz być pani pewną, że będę częściej przebywać w Paryżu, niż w Berlinie.

Tu zaczął unosić się nad Paryżem, w którym bywał kilkakrotnie. Znał jego restauracje i miejsca rozrywek. Ale wyznał otwarcie, że noga jego nie postała w Komedji Francuskiej i że wolał spędzać wieczory w Variétés lub Folies-Bergères.

Głośne wybuchy śmiechu przyjęły to oświadczenie, i Jego Cesarska Wysokość przyjął w nich udział, bijąc się hałaśliwie po udach.

— Hu! hu! hu! — zaszczekały radośnie charty.

Julinka sama udawała, że się bawi.

Nagle Kronprintz zerwał się z miejsca, wywinął parę młynków szpicrutą, wsadził ją w pysk jednego z chartów, skłonił się głęboko przed Julinką i zaprosił ją do tańca.

Minęli taras parkowy wśród pochłaniających ich spojrzeń i weszli do sali balowej. Poszedłem za nimi i tak samo oparłem się o futrynę i śledziłem wzrokiem moją kochankę w zawrotnych podrygach foxtrotta.

Ale Julinka tańczyła zupełnie inaczej z Kronprintzem, niż z baronem von Werthau. O ile z tamtym była poważną, wytwornie powściągliwą, o tyle teraz roztaczała cały arsenał usidlających powabów. A z jakim artyzmem to czyniła, z jaką przebiegłością! Dławiłem się z oburzenia, bo trzeba było być chyba ślepym, żeby nie widzieć, że Julinka, zapominając o wszystkiem, co mi zawdzięczała, pragnęła usidlić Jego Cesarską Wysokość Kronprintza.

Wściekła zazdrość ugryzła mnie w serce. Że Kronprintz, który przelatywał, jak motyl, z kwiatka na kwiatek, mógł mi „zdmuchnąć" moją kochankę, na to byłem przygotowany; byłbym mu nawet w razie czego sam ułatwił tę przyjemność. Ale żeby Julinka starała się rozniecić w nim żądzę, żeby mu się sama narzucała, to mi się wcale nie podobało. I zaniepokoiłem się poważnie.

Ani razu nie spojrzała na mnie; ani razu nie zwróciła głowy w moją stronę, tonąc wyzywająco i słodko w objęciach swego cesarskiego tancerza. Przestałem istnieć. Wszystko było dla niego. I niestety, powodzenie jej było zupełnem.

Dalszy ciąg nastąpi.